

GRAZIA DELEDA
(1872)

pochodzi z wyspy Sardynii, a w utworach swoich z przedziwnym wdziękiem kobiecego pióra kreśli życie, obrazki, bajeczne stroje, charakterystyki, typy swoich... wyspiarzy, których opiewała w wielu, wielu utworach. — Dzisiaj należy do najpopularniejszych autorek we Włoszech, znana i u nas z licznych przekładów.

K O T. (gatto.)

Pewna wdowa posiadała dużego czarnego kota obok dwóch synów, nader wesołych, często gęsto łobuzowatych, ale kochała ich, jak i kota...

Nie byli, ci synalkowie, bardzo młodymi już; mali, o czerwonych policzkach, a rudych włosach, nieco krzywych nogach, zbijali baki, kłócili się, a już dokuczali sąsiadom, co tylko było można... Zwłaszcza kobietom, to też ich omijały i nienawidziły. Była to rodzina biedaków, nie posiadająca ani pastwiska, ani też żadnego bydła. Chłopcy jednak wracali zawsze z naładowanymi workami, darząc matkę obficie łupem, o który się wcale nie troszczyła, z jakich źródeł pochodził...

Z łupów tych, nadewszystko ze sera, lub z pościeli koźlaka, korzystał i kot, nieodłączny towarzysz wdowy, a i jej synalków w domu. Jakżeż on mile się lasił swym ogonem o grubą suknię swej pani, a jak się w nią wpatrywał swemi oczkami turkusowymi... A ona wzamian mówiła do kota czule, jakby nigdy się nie wzięła przemówić do synów. „Mój luby pyszczku“ (musetto mio!)! Pan Bóg w niebie szczęśliwy — jak i każdy na ziemi, któremu się dobrze powodzi! O! Bóg wie, że biedak nie ma co jeść, a musi się sam o to troszczyć... I ja też nie miałabym się troszczyć... Ale Bóg pozwala, aby słaby pomagał sobie, ile może, jeżeli mu ludzie pomoc nie chcą... O! mówił tak wielki Konstantyn, a był mądrzejszy, aniżeli nasz sąsiad, Pietro (Predu) Farranca, a i bogatszy od niego...

Zyla się w takich rozmowach ze swym kotem

Wtem pewnego dnia, kot zniknął bez śladu. Stara oplakiwała go, jakby ślubne dziecko, a poprzysięgła zemstę i czekała tylko, aby ją spełnić w bezgłędnej chęci zapłaty za utratę ukochanego stworzenia.

W rok po tym wypadku, starszy jej syn, przewzany Murrítu, w odróżnieniu od młodszego, Murrone, stanął sobie raz we drzwiach domu, czatując najwidoczniej na sąsiada, Farranca. A kiedy ten nadszedł, zawołał:

— Predu Farranca! dajno mi trochę tabaku do fajki!

Właściciel sporego kawału ziemi wyciągnął woreczek z tabakiem i rzucił go pod sam nos proszącego.

— Masz nicponiu! — — —

Woreczek był z miękkiej skórki ciemnego koloru okrągły.

Kiedy „nicpon“ wziął sobie spory zapas tytoniu, wręczając woreczek, rzekł:

— Zdaje mi się, że on ze skóry naszego kota? — — —

Lecz Farranca wcale nie zważał na to, a tylko go zabrał z powrotem i wsunął w kieszeń. A synalek nie spieszył się z zapaleniem fajki, lecz wszedł do izby, a widząc matkę, rzekł sucho:

— Mamo! Predu Farra zabił ci kota, a ze skóry zrobił woreczek na tytu! — — —

Matka, ubierając się właśnie do kościoła, kiedy przywdziewała strój na głowę i zdołała ją, jak zwykle, wiankiem, odrzekła:

— Zadrzyże mu za to skórę, jeżeli jesteś mężczyzną! — — —

Nie potrzeba było innej iskry, aby w duszy chłopaka rozniecić pożar gwałtownej namiętności. Szukał współników, aby napaść na zagrodę Farranca.

— Wiecie — prawil im, roslym towarzyszom włóczę czy bójk — dotychczas myślałem, że to sąsiad dobry, ale teraz go zwę najgorszym! Co wy na to, aby go tak tucznych świń i sprzedamy w napaść?

— Zabierzemy mu jego dwieście tucznych świń i sprzedamy! — huknęli w odpowiedzi. — — —

Ale znalazł się wśród nich zdrajca. Kiedy urządzili napad towarzysze wraz ze swoim „komendantem“, niespodziewanie grad kul spadł na nich. To oddział dragonów, sprowadzony przez Predu, dał salwę, a kiedy jeden z napastników chciał mówić, wówczas strzał powalił go, a krew oblała ziemię. Reszta pierzeliła. Jeden jeszcze do stał kulke, a jako rannego przywlekl aż do zagrody, gdzie był samotny dąb. Tym rannym był syn wdowy. Kiedy leżał tak na wiązce chróstu i liści, dźwignął się nagle, a do pasterza, który go pilnował, zaczął szeptać:

— Na matkę i ojca twego, na twoją duszę cię zaklinam, rozwiąż mię i wyswobodź!

— Chcesz uciec? — odrzekł pasterz.

— Bynajmniej! Lecz odpocząć i zastrzelić Predu Farranca. — — —

— No, to lepiej, żeś związany, bo nie zrobisz tego! — — —

Nazajutrz wraz z dragonami zabrano „jeńca“ i odstawiono do sądu. Tam skazano go na dwadzieścia lat przymusowej pracy.

— — —

Rok upłynął, a stara wdowa nie zmieniła koszuli ze zmartwienia, czekając, aż zdoła wyrzucić zemstę. W dniu mrocznym, młodszy syn przyszedł raz z wiadomością, że jeden z owej bandy, parobek z Bottidy, przyjął służbę u Farranca.

— Wiesz co, mamo, ten Judasz chce się zemścić napewno! — — —

— To mu pomóż w tej zemście i za brata! — odrzekła matka.

Znowu trzeba było poszukać towarzysza, aby wyrzucić zemstę do spółki. I znalazł się dziki i ponury Barra, który nie szczędził własnego brata, kiedy się rozchodziło o zdobycie krowy...

Nocą majowa, gdy cisza objęła okolicę, przybył Barra, umówiwszy się ze synem wdowy, która mu ugotowała kawy, podając również spory kubek synowi, aby się obydwał nasycił. A potem wyszli.

Księżyc wypełnił z morza i oblał poświatą cudną skały, które jakby postacie martwe, przystały groźnie i trwożnie na ziemi niewielkiego skrawka wyspy. Zdażali ku zagrodzie. W szopie spał sobie parobek z Bottida, a obok niego mały wyrostek. Kiedy nie mogli parobka przekonać, aby szedł z nimi na gospodarza, w krótkim czasie obydwoh zamordowali. Wyrostek przytem jęczał, bo go dusili, gdy parobek dostał żelaznym toporem w głowę i runął na ziemię. Potem zapanowała cisza grobowa.

Wrócili obydwal do domu. Na drugi dzień ich aresztowano: Barra otrzymał karę pracy przymusowej na całe życie, syn wdowy, ze względu na wiek, tylko na lat trzydzieści.

— — —

Piętnaście lat przeżyła wdowa samotnie, oślepiła, a jedyną nadzieją jej było, że otrzyma starszy syn jej ułaskawienie. I uzyskała, wróciwszy raz w dniu majowym do domu, tenże sam wzrostem niski, o czerwonych policzkach i rudych włosach. Mówił różnemi narzeczami, niepomny niedawnej przeszłości, wesół, jakby czas więzienia przebył w podróży dla rozkoszy...

Pracował bardzo przykładnie, a nawet zdobył sobie zaufanie wśród ludzi i u władz że mu kazano pilnować związaną bandę opryszków, kiedy ją ujęto na szczęście, aby położyć kres jej napadom. Wszyscy byli przerażeni, bo banda dała się we znaki. Jeden tylko syn wdowy, wcale nie czuł trwogi, boć on przeszedł te historie we własnym życiu, aby do nich nie wracać... Doił krowy spokojnie, dawał mleka każdemu, bo miał teraz serce nie bandyty, ale... nawróconego!

I wszyscy go szanowali, a okolica cieszyła się, że już nie strasznym syn wdowy, gdy drugi, nie doczekał się końca takiego... Zaś staruszka, ślepa, nie dotknęła już nigdy kota, wierząc, że szerść kocia przynosi nie-szczęście, jakie drogo kosztowało jej serce matczyne. — — —

I nastały już spokojne czasy na wyspie, gdzie nikt nie znał przez długi czas takich wypadków, jak owe, z ust do ust, długo opowiadane „kocie historie“.

(Z włoskiego przełożył

Michał Asanka - Japołł).



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

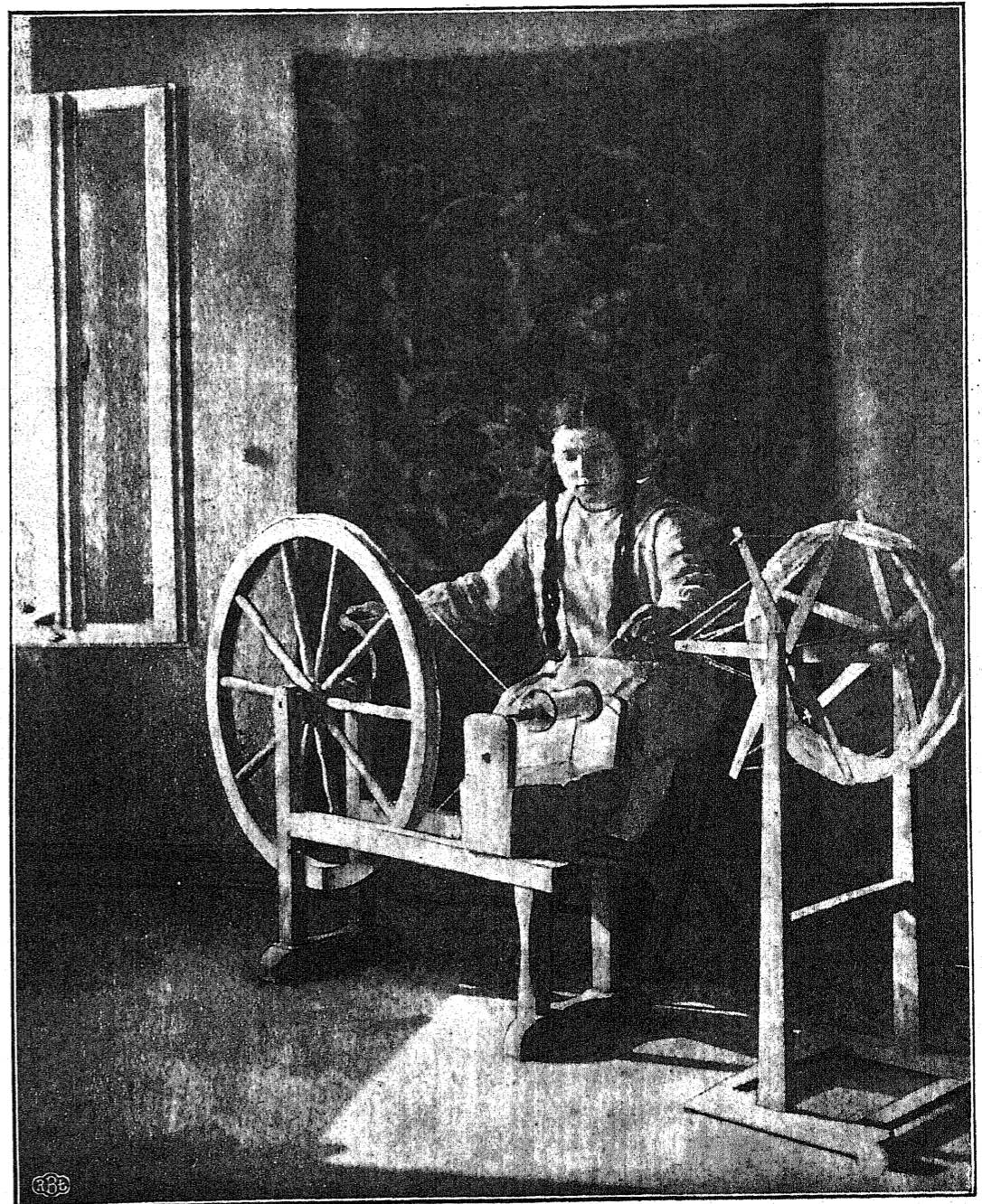
Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 25 lipca 1926 roku.

Nr. 30.

Wij się nici, wij....

Rękodzielnictwo w szkole zawodowej.



Uczenica Państwowej Szkoły Rzemiosł w Łodzi przy wrzecionie.

Teatr i ja.

Nowości stołeczne. — Teatr rosyjski w Londynie. — Sensacyjne samobójstwo aktorki.

Pomimo tropikalne, zaiste, upały, wyciskające z człowieka siódme poty, teatry warszawskie nie próżniają i nie ustają w zabiegach o względy p. t. publiczności.

Teatr Polski wystąpił z premierą sztuki francuskiej spółki autorskiej Verneuil'a i Berra, p. t. „Azais”. Jest to rzecz interesująca w pomysłach, zaczerpniętym zresztą z rzeczywistości. Obrobienie jednak tego dobrego pomysłu jest, otwarcie mówiąc, dosyć słabe, a jeśli sztuka ma powodzenie, to w przeważnej mierze dzięki doskonałej grze pp. Junoszy-Stępowskiego, Maszyńskiego i Sulimy, którzy — rzecby można — wyręczają w wielu momentach autorów.

Osnową pomysłu pp. Verneuil'a i Berra jest teoria filozofii t. zw. kompensacyjnej, propagowana istotnie w pierwszej połowie XIX w. przez filozofa francuskiego, Azaisa. Teoria ta w szczególności głosi, że ilość szczęścia i nieszczęścia w życiu każdego człowieka jest matematycznie równa, że, po dniach pechowych, przychodzą obowiązkowo dni powodzenia, zaś — naodwrot — uśmiechy fortuny rekompensują się znowu najzupełniej tą samą ilością — deweny. Żywym potwierdzeniem tej teorii jest właśnie ubogi muzyk, Borneret, który po 35 latach życiowego pecha dostaje się w zaczarowane koło szalonej jakiejś passe'y, obsypującej go niespodziewanie wszystkim o czem tylko człowiek śnić może.

Borneret jest narazie tak — przerażony tym nagłym zwrotem rydwanu fortuny, tak osłupiały z racji tego prawdziwego embarras de richesse, że, biedak, chce aż do Sekwany skakać, by się od tych niebezpiecznych, jak sądzi, niespodzianek zaasekurować. Oczywiście optymizm kompensacji Azaisa i tu całkowity triumf odnosi, a p. Borneret, odnalazszy prawdziwą dla swego serca drogę, staje, jak mówią Francuzi, au comble du bonheur. Dłużyna perypetyj p. Bornereta, nużaca nieco, oraz brak jakiejś takiej konsekwencji w budowie sztuki — oto główne jej wady. Do zalet zaś zaliczyć należy doskonałą postać starego ramola, barona Wuertza, który mimo swój kompletny kretynizm — ma manję robienia interesów. Tę to rolę właśnie gra mistrzowsko Junosza-Stępowski, zaś szczęściarza — Bornereta — Maszyński.

Teatr im. Bogusławskiego wystawił w tych dniach graną już w Poznaniu sztukę dr. Zygmunta Nowakowskiego, p. t. „Puchar wędrowny”. Autor dał się, jak to wszyscy pamiętamy, poznać w swoim czasie w Łodzi w charakterze bardzo utalentowanego aktora i reżysera, a nawet i pisarza — („Tajemniczy pan”). O „Pucharze wędrownym” pisaliśmy już obszerniej z okazji premiery w Poznaniu. Obecnie dodamy, że sztuka Nowakowskiego doznała w Warszawie dość życzliwego przyjęcia, jako rzecz napisana dowcipnie i inteligentnie. Analityczną jednak sprawę dokładniej, zajrzawszy

do „Puhara wędrownego” głębiej, musimy przyznać, że komedia jest, prawdę mówiąc, słaba i na zimno pisana, „spreparowana — jak się jeden z krytyków wyraził — nienajgorzej i wcale sprytnie z elementów, które aktor Nowakowski widział na scenie, a doktor filozofii Nowakowski w książkach wyczytał”. Na tem koniec — i dajmy wyraz nadziei, że w najbliższym czasie da nam dr. Nowakowski coś bardziej oryginalniejszego i przeżytego.

Jak się dowiadujemy, znany poeta z zastępu „skamandrytów”, p. Słonimski, złożył dyrekcji warszawskich teatrów miejskich wykończony ostatnio trzyaktowy dramat wierszem p. t. „Wieża Babel”. Sztuka p. Słonimskiego w formie nader frapującej porusza szereg aktualnych spraw politycznych powojennej Europy. Premiera odbędzie się zapewne dopiero na jesieni r. b.

Dużą sensację w Paryżu i Londynie wywołało samobójstwo znanej aktorki francuskiej Regine Flory, dokonane za kulisami londyńskiego teatru „Drury Lane”. Istotną przyczyną rozpaczliwego kroku p. Flory były, jak twierdzą wtajemniczeni, niepowodzenia miłosne, w szczególności zaś ostatnie, nieodwzajemnione uczucie ku pewnemu pięknemu oficerowi angielskiemu. W pogoni właśnie za tym mirażem szczęścia pojechała p. Flory do Londynu pragnąc zaangażować się do teatru Drury Lane. Gdy

sprawa ta nie powiodła się i dyrektor nie zgodził się na engagement, p. Flory w gabinecie jego, za kulisami, odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru....

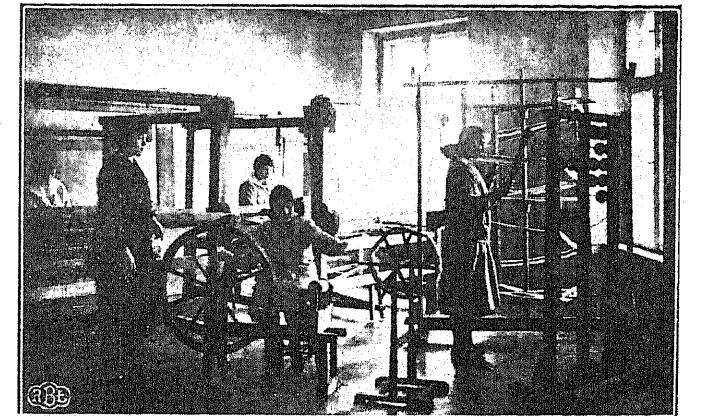
Dramatyczny teatr rosyjski, występujący w Londynie, potrafił rozgrzać zimnych Anglików, a nawet wzbudzić wśród nich nieklamane zachwyty. Repertuar obejmował sztuki Czechowa, Andrejewa i in. Pomimo niezrozumiałego zupełnie dla londyńczyków rosyjskiego języka przedstawień, cieszyły się one stale obrzymim powodzeniem. Powodzenie to wpływa oczywiście bynajmniej nie ze zrozumienia przez Anglików wewnętrznej, obcej im zupełnie, treści sztuk autorów rosyjskich — lecz z doskonałej reżyserskiej oprawy tych sztuk oraz z momentu interesowania się Anglików wszystkim, co posiada piętno egzotyizmu i oryginalności. Sukcesy teatru rosyjskiego zaszyły tak daleko, że dyrektor jednego z teatrów londyńskich wprowadził na repertuar jedną ze sztuk Czechowa, zaś do inscenizacji jej zaprosił „specjalistów” — Rosjan. Ponieważ rola reżysera zasadniczo w teatrach angielskich jest bardzo ograniczona, przeto to wyjątkowo rosyjskie przedstawienie należało podobno do szeregu najlepszych notowanych w kronikach teatralnych Londynu.

Delta.

Po laury dla polskiego śpiewactwa.



Fenomenalny polski śpiewak, Jan Kiepusa, zawarł kontrakt z agencją paryską i wyjeżdża do Paryża, Londynu, Chicago i New Yorku. — Na fot. Kiepusa w partii „Rigoletto”.



Salę zajęć praktycznych w Żeńskiej Szkole Rzemiosł podczas godzin nauczania.

P. Mięczysława Ćwiklińska,



świetna artystka komedjowa polska święciła triumfy w ubiegłych tygodniach na scenie Teatru Miejskiego w Łodzi.

P. Wacława Morawska,



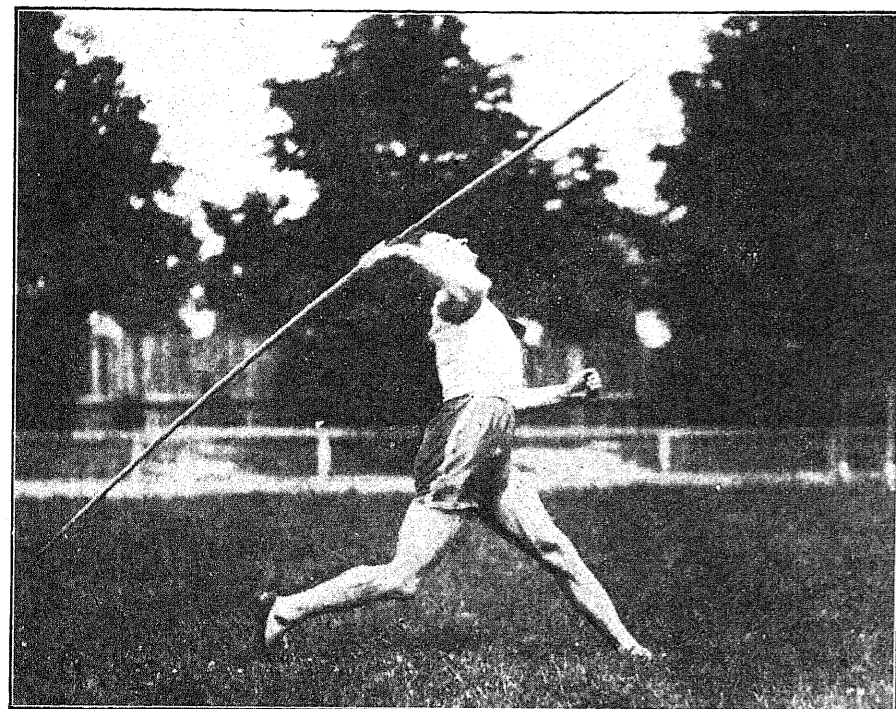
znana piosenkarzka z wielkim powodzeniem występuje na nadsceście w restauracji „Teatralnej”.





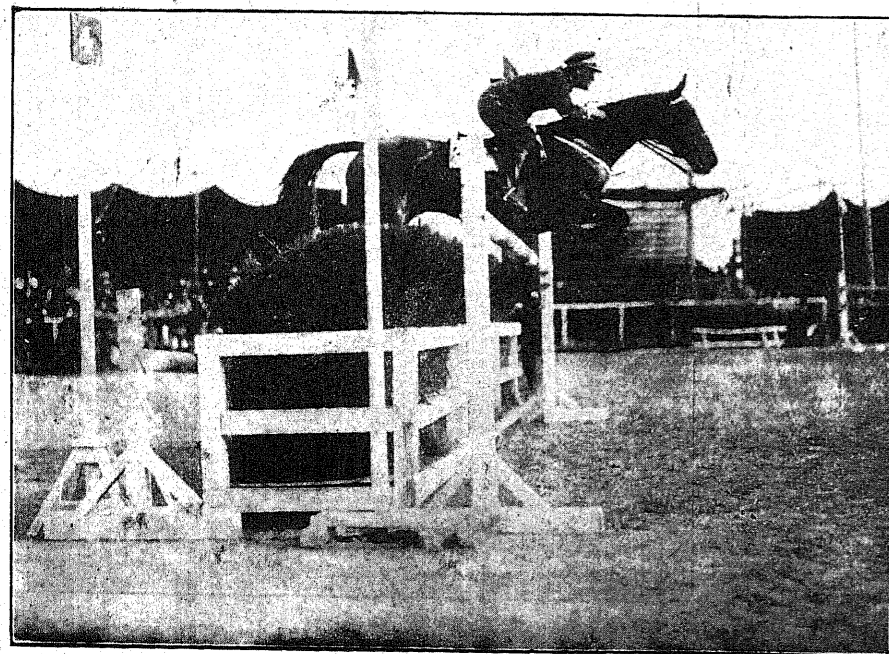
Ze sportu.

Z zawodów lekko-atletycznych w Warszawie.



W rzucie oszczepem Szydłowski. uzyskał miejsce za będącym w świetnej formie Grunerem.

Nasi jeźdźcy w Medjolanie.



Major Toczek w skoku.



Jednym z najchętniej uprawianych sportów warszawian jest pływanie łodzią żaglową.



Duszyński i Bartodziejski



zajęli 1 i 2 miejsce w wyścigu o mistrzostwo szosowe Polski.

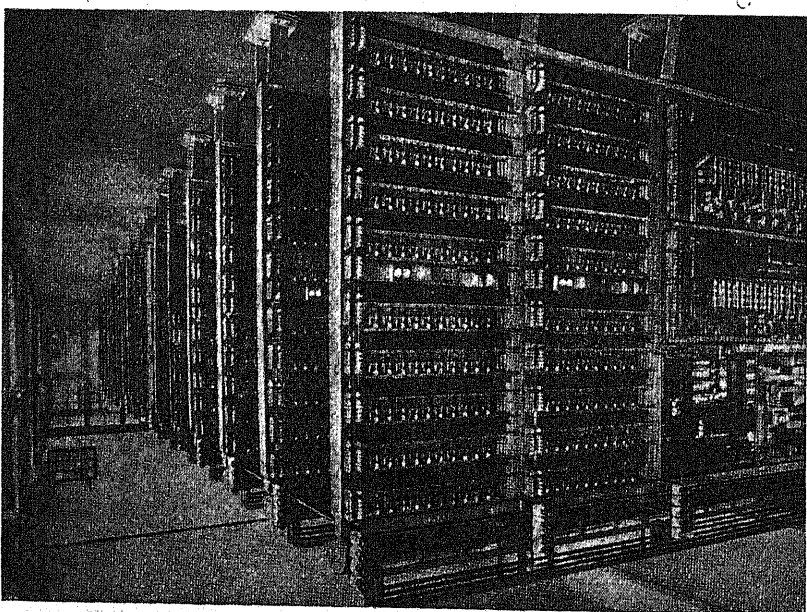
Z uroczystości warszawskich.



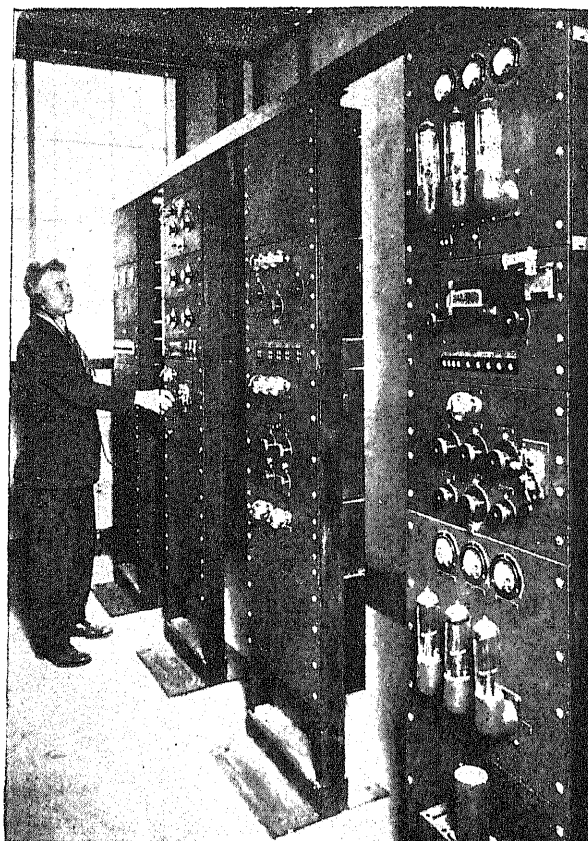
W końcu ubiegłego miesiąca odbyła się uroczystość poświęcenia przystani H. K. S. „Varsovi” — dokonana przez księdza Manersbergera.



Miss Freda Bliss poświęca życie sztucznemu wylęganiu kurcząt i produkuje 3.250 000 tysięcy tych ptaków rocznie.



Największa radiostacja nadawcza w Ameryce.



Radjotelegrafista stacji amerykańskiej przy pracy.

P. Wicenty Rapacki (syn).



Autor komedji „Papa się żeni”.

BR. HOFMANN.

Pochodnia.

Doktor Gisbert Hagen siedział w otwartym oknie i paląc papierosa, czytał gazety. Wieczór był ciemny, powietrze parne, silny zapach ziemi uderzał nozdrza.

Doktor odłożył gazetę, zamyślił się i poczuł nagle dziwną gnuśność i niezadowolenie. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozczyna rował się i w małżeństwie, przed paru tygodniami zawarł, nie znalazł szczęścia, którego był pewien.

Tak dziwne było ich zbliżenie! Kore-spondowali ze sobą pod godłem „Pochodnia”. Dzisiaj nie mógł zrozumieć, jak jego żona, wata, cicha i prawie lekliwa, pisała te listy, dyszące zrozumieniem życia i namietnością, listy, którym początek dało zarobkowe ogłoszenie w gazecie sub „Pochodnia” — a koniec miał nastąpić z końcem żywota.

Kobietę, piszącą te listy, wyobrażał sobie jako wysoką, ognistą brunetkę, a żona jego była maleńka, o jasnych, wodnych oczach i popielatych włosach. Nie tak powinna płonąć jego wymarzona „Pochodnia”.

Mimo mroku zauważył Gisbert szybko zdążającą do furty ogrodowej jakąś smukłą postać kobiecą. Chód jej był pyszny i harmonijny, postawa królewska. Czy to jego żona? Nie! Ale przecie... Oczywiście, to jej sobolowe futro.

— Egede! — zawołał, wychylając się z okna.

Postać nie zatrzymała się. Gisbert zbiegł ze schodów i pogonił za nią. Ujrzał ją w kasztanowej alei, prowadzącej do przystanku koleżki dojazdowej.

— Egede! Poczekaj! — zawołał znów, ale, czyżby się pomylił? Zdawało mu się, że przyspieszyła kroku. Podbiegł więc i od-ruchowo krzyknął:

— Pochodnia!

Postać kobieca zadrzała, przystanęła i w nagłym półobrocie Gisbert ujrzał piękne, ale nieznanne oblicze, poczem niewiasta szybko pomknęła naprzód i nagle skre-ciła w gestwę. Nim Gisbert nadszedł do tego miejsca, nie było śladu jej przejścia, i wobec ciemności, uniemożliwiających dalsze ściganie, Gisbert zawrócił do domu.

— Jakim sposobem obca kobieta wyszła z pawilonu ogrodowego, odziana futrem Egedy? — myślał uporczywie.

W domu Egedy nie było. Służba powiedziała, że pani wyszła do ogrodu.

— Czy miała sobolowe futro?

— Tak gdyż było chłodno.

Gisbert gubił się w domysłach. Co zna-czyła ta ucieczka? Czyżby, zaledwie po-wróciwszy z czterotygodniowej podróży poślubnej, Egede postanowiła go porzucić?

Podobny postępek wydawał mu się ze stro-ny tej chłodnej, cichej kobiety niepodobień-stwem.

Gisbert wieszczył sam. Egede nie po-wróciła. Nie powróciła przez całą noc — i nazajutrz wczesnym rankiem Gisbert wy-szedł do ogrodu. Głany dziwnym przeczu-ciem, zbliżył się do pawilonu ogrodowego, a widząc uchylone drzwi, wszedł i zoba-czył leżącą na koszykowej kanapce Ege-de.

Na palcach przysunął się do niej i ujął zwieszającą się rękę. Była zimna. W te-że chwili nastąpił nogą na coś kruszącego się, a podniósłszy przedmiot, poznał igłę mor-finową. Zajrzał w oczy żony — nie żyła.

Opuścił się ciężko na fotel i rozważał, nad przyczyną nieszczęścia. Nagle zauwa-żył brak futra sobolowego i fakt, że pan-tofelki zmarłej były suche i czyste. W no-cy szalała burza i ścieżki ogrodowe były rozmokłe — a więc Egede nie powróciła tu

w nocy, ani rano — tem samem nie ją wi-dział wczoraj w polu.

Może to była morderczyni jego żony? Może Egede nie zrobiła sobie sama zastrzy-ku?

Doktor uczył lęk przed własnymi my-ślami i zrozumiał jednocześnie, patrząc na spokojną twarz zmarłej, że ona nie mo-gła być „Pochodnią”.

Zmęczony jego wzrok padł na świstek papieru, którego nie zauważył dotychczas. Pochwyił go i jednym tchem przeczytał:

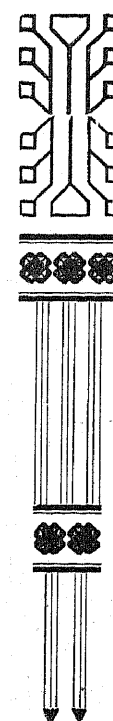
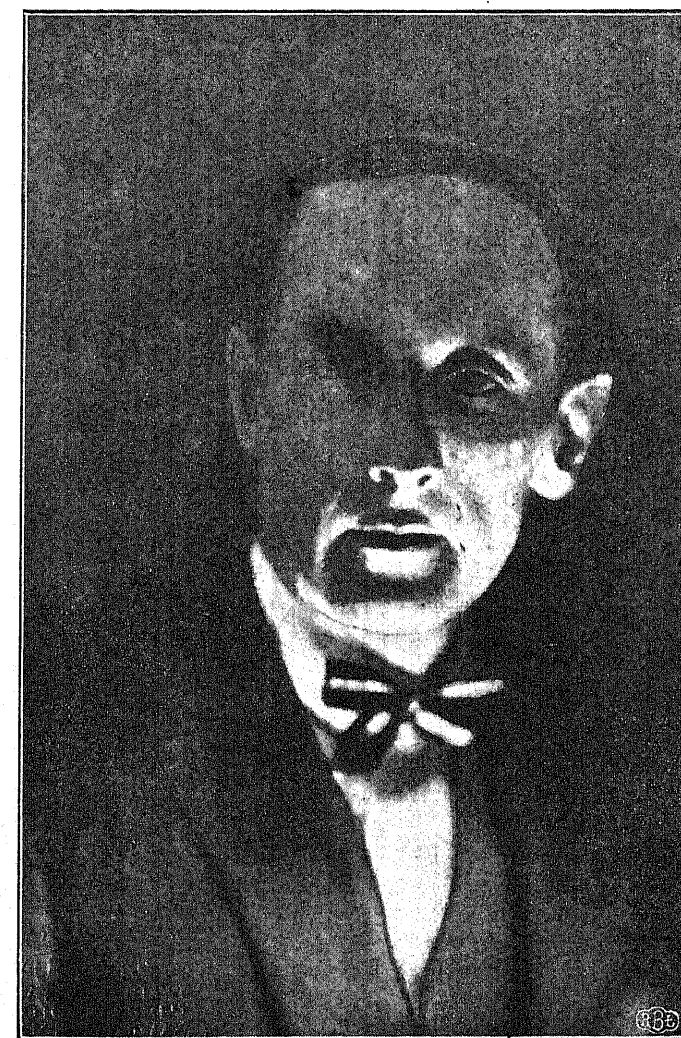
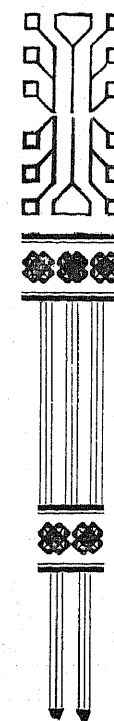
„Gisbercie, przebac mi! Oszukałam Cię, gdyż kochałam Cię nadmiernie. Umieram z własnej woli.

Egede.”

Nic nie rozumiał. Kiedy zdołała go o-szukać, było dla niego niepojęte, a jedyne wyznaczenie wielkiej miłości Egedy wstrzą-snęło nim do głębi.

Opuścił pawilon, zawiadomił służbę, po-licję i doktora o nieszczęściu, i poszedł do

Mieczysław Mirski,



Popularny humorysta polski z powodzeniem występuje na nadscece w restauracji hotelu „Savoy”.

swego gabinetu. Wydobyl z biurka paczkę listów od „Pochodni“ i porównał charakter pisma z przyniesioną kartką. Przy prostych, dużych, energicznych literach małe i drżące objawiły mu się słowa zmarłej. A więc listy nie ona pisała?

x

Gisbert czuł potrzebę wypoczynku i zmiany otoczenia. Samotność i dociekanie zagadki jego życia, męczyły go nadmiernie. Czekał tylko na powrót Schleinitza, tajnego radcy, aby udać się na urlop.

Schleinitz miał właśnie powrócić z podróży poślubnej. Jako sześćdziesięcioletni mężczyzna ożenił się z młodą kobietą.

Natychmiast po przyjeździe tajnego radcy Gisbert omówił z nim swój urlop.

— Chciałbyś przed wyjazdem zajrzeć do nas? — spytał Schleinitz. — Powinieneś poznać moją żonę. To zachwycająca kobieta. Powiedziałbym nawet, że dla mnie za mocne to wino! Poza to, wiesz chyba, że była siostrą cioteczną twojej żony?

Romuald Gierasieński,



znany artysta warszawski spędza letnie miesiące na uroczej plaży polskiego morza w Jastarni. — —

— Będę u was przed wyjazdem. — odparł Gisbert. Kuzynka jego żony zajmowała go istotnie niewiele.

W drodze na dworzec zatrzymał się pówóz Gisberta przed domem radcy.

— Jesteś przecie! — witał go ucieszony Schleinitz. — Nie chcesz się nawet zobaczyć? Ano, trudno, ale zawołam żonę. Uta!

Gisbert spojrzał w głąb hallu i zadrżał. W otwartych drzwiach ukazała się kobieta o wyniosłej, królewskiej urodzie; ciemne, wielkie oczy rzuciły głębokie błyski, hebanowe sploty okalały jej kształtną głowę. Poznał ją natychmiast — nieznaną z ka-

sztanowej alei otuloną w sobolowe futro, które narzuciła teraz na ramiona.

— Szczęśliwej podróży, Gisbercie Hagen — powiedziała Uta, a głos jej brzmiał drażniaco i melodyjnie. — Jeszcze jeden list mam dla pana. Teraz zrozumie pan wszystko.

Zdjęła futro i powiesiła na ramieniu Gisberta. Biała jej ręka wyciągnęła się do niego z listem.

Na kopercie zdecydowanym charakterem pisma nakreślone było słowo „Pochodnia“.

Gisbert przeczytał list dopiero na pokładzie okrętu, wiozącego go do Indyi.

„Uta! Nie zniosę dłużej pożycia z moim mężem, którego podstępnie Ci zabrałam. On ciebie tylko kochał i kocha. Jeśli mi możesz przebaczyć, przyjdź do pawilonu w ogrodzie — chciałabym raz jeszcze z tobą pomówić“.

Egede“.

Dużemi literami dopisano poniżej:

„Przyszłam za późno“.

Gisbert opuścił list i objął wzrokiem niezmierny ocean. Był samotny.



Dyrektor Polskiej Radjostacji nadawczej, która jest jedną z większych w Europie.

Profesor Lucatello,



Rektor uniwersytetu w Padwie w otoczeniu dr. Goro i jego asystentki dr. M. Szonthag, gorących przyjaciół po skich studentów, których w tym uniwersytecie przebywa około 100.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 1 sierpnia 1926 roku.

Nr. 31.

Na służbie u Terpsychory.



Słynne trio taneczne, H. i N. Rovena i E. Gaston, produkowało się w dniu 24 lipca w Teatrze Miejskim, zbierając liczne i zasłużone brawa.